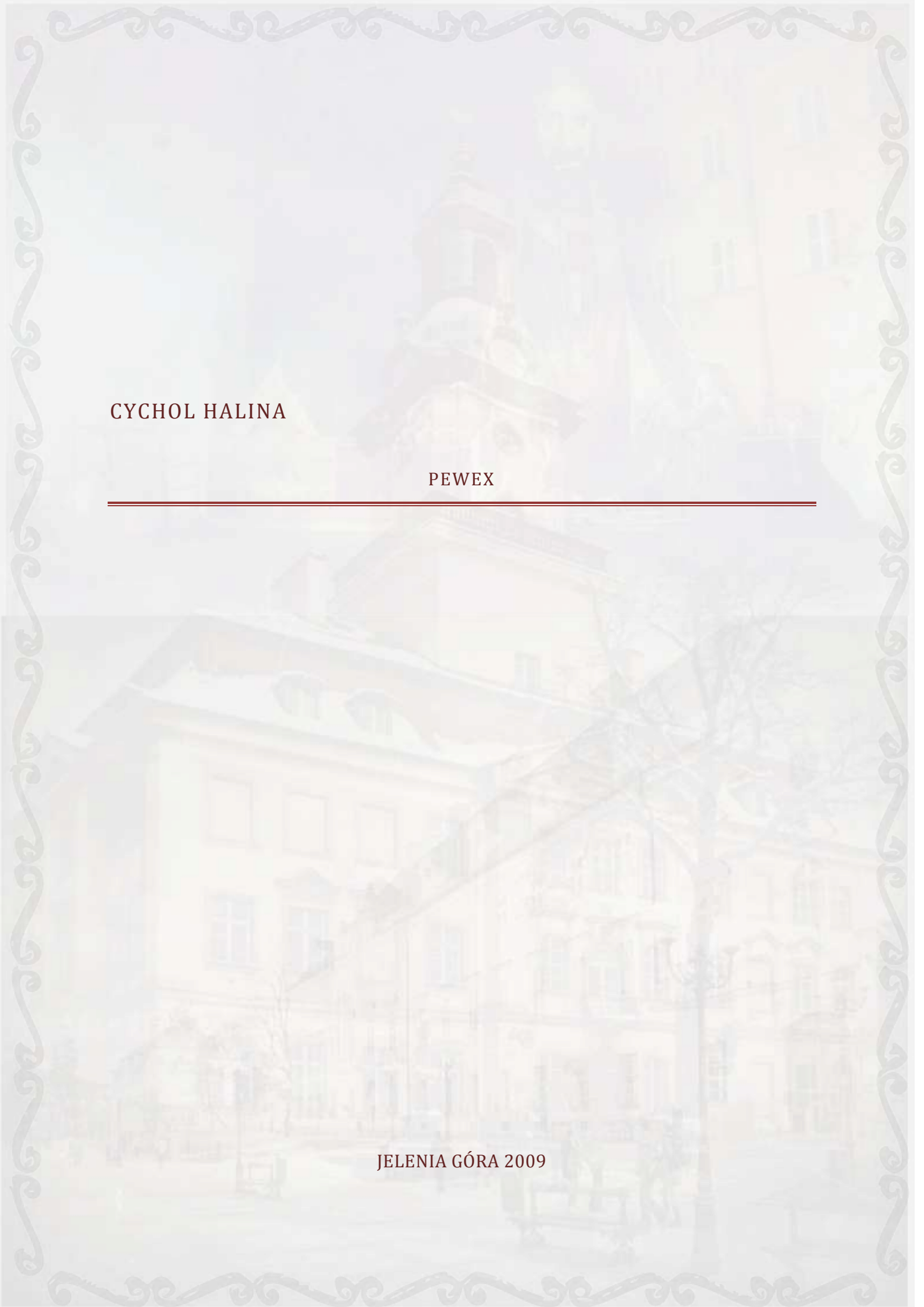




CYCHOL HALINA

PEWEX

---

JELENIA GÓRA 2009

Ilekoć przechodzę obok pasażu handlowego przy ulicy Cieplickiej w Sobieszowie, z salonem gier, gdzie obecnie króluje jednoręki bandyta, przypomina mi się PEWEX. Nazwa ta kojarzy się przede wszystkim ze sklepem za dewizy, pełnym luksusowego towaru; drogich trunków, perfum, wymarzonych dżinsów, markowych ciuchów. Te sklepy, niedostępne dla zwykłych śmiertelników, to dziś już historia... Ale nasi rodacy słyną z wyjątkowego poczucia humoru, więc „Pewexem” nazwali na moim osiedlu sklep z bezkartkowymi wyrobami mięsnymi. Rzucali tam, przeważnie w wolne soboty, towar pośledniejszego gatunku: podroby, kaszanke, salceson czy wychudzone kurczaki koloru lilaróż.

Nigdy w życiu nie przeżyłam większego upokorzenia, jak we wczesnych latach osiemdziesiątych, kiedy generał i jego hunta byli dla nas panami życia i śmierci, reglamentując towary rynkowe. Ileż to udręczone w kolejkach do granic możliwości kobiety musiały się nagłówkować, żeby wykarmić rodzinę? Jeden miesiąc z tamtych czasów pogardy i poniżenia utkwił mi szczególnie w pamięci, bodajże – kwiecień osiemdziesiątego trzeciego roku.

Zgubiłam kartki na mięso. Po prostu, w sklepie obuwniczym, w momencie przymierzania butów skradziono mi torebkę z dokumentami i pieniędzmi. Czułam się tak, jakbym dostała obuchem w głowę. Co ja powiem rodzinie? Co powie mój mąż? A co dzieci, które w niczym nie zawiniły? Ile można pakować dzieciom do kanapek zieleniny i sera? Niestety! W tym miesiącu zostałam skazana na „Pewex”.

Stoję już przeszło godzinę w kolejce, która jak mityczny potwór z jeziora Loch Ness wije się, faluje i nabrzmięwa złością, kiedy ktoś niepowołany usiłuje wcisnąć się w to kłębowisko biustów i pośladków. Po drugiej stronie lady ustawili się kolejka emerytów i kobiet ciężarnych. Trzęsące się ręce i opuchnięte nogi. Oni też domagają się swojej porcji bylejakości. Ci, z zasadniczej kolejki, gdyby mogli zabijać wzrokiem jak bazyliszek, z pewnością unicestwiliby tamtych. Przede mną stoi osiedlowy osiłek z gatunku tych „urodzonych w niedzielę”. Cuchnie moczem, tanimi papierosami i nieprzetrawionym alkoholem. Prawie codziennie wynajmuje swoje nogi do stania tym, którzy nie mogą wyskoczyć do kolejki z pracy albo nie mają na to siły i zdrowia. Co chwilę ktoś wychodzi, bo w sklepie obok rzucili deficytowy towar, jakim był wtedy papier toaletowy. Nadciągają nowi. Ktoś inny zamawia sobie miejsce i o te miejsca toczą boje kolejkowicze, a niektórym puszcza nerwy:

– Ta pani tu nie stała! – Jak to nie? – Ta pani obok może zaświadczyć, że poszłam tylko do apteki. – Do apteki? – Patrzcie, jaka wypacykowana, jak lafirynda! Była u fryzjera! – Sama pani jesteś lafirynda!

Takie upokarzające odżywki powtarzają się cyklicznie. Stoję w tym dusznym od tanich perfum i ludzkiego potu miejscu i przetrawiam w sobie żal za utraconym rajem – czterema niebieskimi karteczkami, poukładanymi równiutko w portfelu obok pieniędzy, prawa jazdy i dowodu osobistego. Teraz komuś innemu sypną na stół gradem złocistych parówek, obrodzą soczystym schabem. Kombinuję, co do mnie dojdzie z tego nędznego towaru na ladzie. Na nóżki i kurczaka nie mam szans, bo kolejka uprzywilejowanych rozciąga się jak guma do żucia. Dobrze, że dziś mam wolne z powodu choroby dziecka, a stania jeszcze na dobrą godzinę. Znowu awantura! Do kolejki po lewej wciska się dziadek z jedną nogą w gipsie i całe to skondensowane chamstwo obraca się przeciwko niemu. Wreszcie, kiedy nie czuję już nóg, dobijam do lady. Korpulentna ekspedientka upierścienionymi palcami rzuca na wagę kilogram płucek. Dobrze i to. Ugotuję pierogi z nadzieniem quasi-mięsnym. Jutro wolna sobota. Jak wcześnie wstanę, zamówię sobie miejsce w kolejce, to może uda mi się kupić salcesonu, zwanego tu humorystycznie „cwaniakiem”, lub kaszanki, nazywanej – „przebiegłą”.

Wydobywam się wreszcie na zewnątrz, oddycham z ulgą, zapalam papierosa i myślę, że mała, która przegapiła moment, by stać się człowiekiem, miała rację. Moja wściekłość na ten dogorywający system nie ma granic. Zmarnowano nam dziesięć lat z życiorysu na stagnację i marazm. Jak mam uczyć młodzież patriotyzmu? Ile można kochać ojczyznę, która dla swoich dzieci jest nie matką, ale – macochą? Mojego dyrektora szkoły cała ta zgraja pułkowników i sekretarzy chciała zaszczyć za to, że ośmielił się nie wysłać w imieniu młodzieży życzeń urodzinowych „towarzyszowi Breżniewowi”. Widocznie nigdy nie czytali aktualnej na tamte lata „Ballady o trzęsących się portkach” K.I. Gałczyńskiego. TO był czas fatalnych dla Polski przemian, w których strach i bezmyślność górowały nad myśleniem i zdrowym rozsądkiem.

Epilog mojej historii z pewexem był taki, że po tygodniu idąc ulicą, spotykam siostrę Zofię.

- To pani torebka? – pyta
- Moja – powiadam i uradowana ściskam ją serdecznie.
- Ktoś podrzucił w kościele, leżała pod ławką.

Zaglądam do środka. Jest portfel, są dokumenty, ale pieniądze, które miałam odłożone na buty i cztery karteczki na mięso w cudowny sposób wyparowały.